

Aleksandra Tarnowska

Bez towarzystwa

Urlop. Z dwulatkiem i siedmiomiesięcznym niemowlęciem. Macierzyński. W sumie Marzena nic więcej nie musi mówić. Przy piaskownicy na placu zabaw wszystkie mamy kiwają głowami. Rozumiemy, ciężko. No ale na własne życzenie, nie? Było przynajmniej zrobić przerwę. Chciałaś, masz. Tak myślą. Nie mówią, opinie wyrażają tylko na Facebooku.

No, ma. Dwoje dzieci. Męża też ma. Choć czasem bardziej wroga niż męża. Chyba nawet częściej niż rzadziej. A może „mąż” wcale nie ma synonimu „sojusznik”, tylko jej się tak, naiwnej, ubzdurało? Towarzysz, domownik, kochanek, pomocnik, opiekun? Do pierwszego dziecka. Potem słownik już nie daje rady. A tu już dwójka. Sama tych dzieci nie zrobiła chyba, nie?

Ale Mąż przynosi pieniądze. I prezenty. Najlepszy tatuś. Zawsze umie spłacić niespędzony z dziećmi czas. Z Marzeną ma łatwiej. Nawet płacić nie trzeba. Przysiadzie przy niej na kanapie, film zaproponuje. Albo serial, bo krócej, i może choć raz Marzena nie przyśnie w trakcie i nie będzie musiał mieć do niej pretensji.

Marzena siedzi w domu na urlopie. No dobra, mieszkaniu. Sześćdziesiąt metrów, ani bardzo mało ani dużo. Mieszczą się. Jeszcze. Choć czasem myśli, że syf wypada oknami. Wtedy sprząta. Czytała komentarze na fejsie, nie? „Lepiąca podłoga? Nigdy. Nawet przy piątce dzieci. Wszystko kwestia organizacji”.

Zagarnia zabawki. Starszy próbuje ciągnąć Młodsze po dywanie. Może dostanie przepukliny? W końcu Młodszy płacze, więc Marzena robi przerwę w zabawie. Na karmienie. Mówili, żeby odstawiła, żeby odetchnęła z butelką, co to za życie z takim, co ciągle na niej wisi. Miałaby czas, ugotowałyby, pojeździła na mopie, same przyjemności.

Starszy szuka zajęcia, Młodszy drugiej piersi pod bluzką. Zaraz ją znajdzie i znów będzie kręcił sutkiem jak pokrętle od radia. Wbije pazury. Za rzadko mu obcinasz, skwituje obojętnie Mąż. Starszy wywala z pudełka klocki. Później ogarnie się syf, teraz kolacja.

Płatki z mlekiem. Na więcej Marzeny nie stać. Psychicznie. Ma dość słuchania, że to nie, tamto nie, a to tak, bo tego nie chcesz mi dać. Więc niech ma i je. No i Młodszy śpi. Na rękach, więc Marzena nie ma czym pitrasić, palcami u stóp przewracać naleśników jeszcze nie umie.

Otwierać paczki z płatkami w sumie też. Choćby jedną ręką. Jakby Facebook nie próbował jej wmówić, że wszystko

się da. Ona nie umie. Albo nie chce tyle co trzeba, wszystko jedno.

Oddaje paczkę Starszemu, na pewno ma siłę, skoro potrafił rąbnąć dziurę w ścianie rurą od odkurzacza. Synek przyskakuje ochoczo, widocznie rzezywiście prawie go zagłodziła, biedny dzieciak.

Zgrzyt kluczy w zamku. O! Tak wcześniej raczy wrócić z pracy jej Pan, a ich Ojciec? Marzena rozgląda się. Dobrze, że choć trochę zdążyła ogarnąć. Mieszkanie wygląda całkiem w porządku. Drzwi skrzypią, więc odwraca się, żeby powitać Męża sztucznym uśmiechem. Może nawet z kroplą prawdziwej zyczliwości albo satysfakcji. Bo choć ma dość, to przynajmniej jakoś przetrwała.

BUCH!

– Jezu, ale syf. Mogłaś choć trochę ogarnąć skoro już w domu siedzisz.

Płatki z rozdarłej gwałtownie torebki były chyba wszędzie. Ale i tak Marzena ich teraz nie widzi, oczy same się zamknęły, zaatakowane przez coraz głośniejszy pisk. Chwila moment, ciężar na rękach też zaczyna się kręcić i pojękiwać. No pięknie. W końcu powieki muszą się podnieść, oskarżycielski wzrok pada na Starszego, który leży i wije się w rozsypanych płatkach, rozgniatając je wściekłymi ruchami rąk i nóg. Mąż wciąż tylko stoi. W butach, których nie raczył nawet zdjąć w korytarzu. A nie, jeszcze patrzy. Oceniająco,

z niesmakiem, jakby Marzena potrzebowała teraz jakiegokolwiek opinii. A już na pewno nie takiej, na jaką nie zasłużyła.

W końcu Mąż-laskawca dostrzega, że ona ma zajęte ręce i przykłęka przed Starszym. Kusi dziecko odkurzaniem, oczywiście. Niech więcej ścian porozpierała, Marzeny to zresztą już nie obchodzi, bo właśnie czuje rękę, wślizgującą się pod dekolt jak robak. Pazury na sutku. Zabiera Młodsze do sypialni. Niech Mąż choć raz zajmie się Starszym, a ona zazna odrobinę spokoju. Odpocznie od bachora.

Siada na łóżku z przyssanym do piersi dzieckiem. Odkurzacz buczy, nic nie wali o ściany. Marzena wyobraża sobie małe rączki machające rurą. Słodki uśmiech na pucułowatej twarzy. Jezu, co z niej za matka. Kochane, słodkie maleństwo. Niewinne dzieciątko. Mały, nieświadomy wielu rzeczy człowiek. Żaden bachor.

Głaszcze Młodsze. Może nie ma tu bachorów, ale Marzena i tak ma już dość. Małe usteczka przestają mocno otaczać sutek, rozchylają się i wypuszczają jej ciało na wolność. No właśnie, tego Marzenie brakuje.

Jeszcze chwilę trzyma Młodsze w ramionach i w końcu, na dobre uspio-nego, odkłada na łóżko. „Wychodzę!” – krzyczą jej myśli i otwiera drzwi sypialni z rozmachem. Jak wolny człowiek. Nie zastanawia się. Nie patrzy na strój. Wzrokiem omija lustro w korytarzu.

– Wychodzę! – Marzena krzyczy tym razem na głos i nie czeka na odpowiedź męża. Na płacz Starszego też. Jeden fałszywy krok, a pójdzie najdalej na balkon. Zakłada buty.

Przed blokiem wyjście gdziekolwiek nabiera nowego znaczenia. Wdycha świeże powietrze i idzie przed siebie. Dłonie wydają się zbyt luźne bez rączek wózka przed nimi. Wiosna, a jakby początek lata, tak ciepło. Emeryci na ławkach,

młode siksy w miniówkach, choć na to może akurat jeszcze zbyt zimno, dwa wyrostki ze smartfonowymi szyjami, omijają ją na milimetry, zapatrzona w ekrany. Zazdrości do bólu. Żyć własnym życiem, bez ciągłego towarzystwa, ile jej jeszcze brakuje do tego?

Wchodzi do monopolowego na osiedlu. Kupuje loda. I czekoladę, bo taki asortyment mają do wódki. Siada na ławce i je. Jak człowiek.



M. Łabędzka / PLSP w Supraślu

Ale gównu czuje. A przynajmniej żadnej przyjemności. Wafelek różka jest miękki, ma wrażenie, że zaraz zgniecie go w palcach jak plastelinę. Za to lód jest zmrożony, gryzie go bez smaku. Bolą ją zęby. Tyle radości. W końcu niedojedzony różek z hukiem ląduje w koszu.

Sreberko czekolady szeleści. Brązowa słodycz otwiera się przed nią kusząco. Marzena wzdycha. Patrzy na mleczną czekoladę, jakąś najtańszą – liczy się to, że słodka. Ale nie może po nią sięgnąć. Nie może, bo zaczyna myśleć.

Młodszy już na pewno się obudził. A Starszy płacze, zmęczony po odkurzeniu i kolacji. Mąż będzie próbował go uspić. Jakiś ogarnąć dwoje. Młodszego jeszcze uspi na rękach, ale Starszy, zapłakany, padnie gdzieś na kanapie. Bez umytych zębów.

Bo tatuś oczywiście nie pomyśli, a matka właśnie zjada sobie beztrudnie czekoladę. Marzena już widzi na wpół otwarte usteczka i żółte resztki płatków między stłoczonymi dolnymi ząbkami. Idą do nich małe, czarne robaczki. Kręcą się szybko, biegną po białym szkliwie. Wiją się. Wgryzają i tłoczą w wielkich czarnych od robactwa dziurach.

Pierdoli czekoladę. Idzie do domu.

Nie wzięła klucza, ale co z tego, skoro drzwi zastaje niemal otwarte na oścież. Mąż wciąż odkurza. Przy szafce na buty, zaraz przy wejściu, leżą różowe rajstopki Starszego. Marzena nie wie kiedy i dlaczego dzieciak upodobał sobie ten kolor. Jej to w sumie obojętne, ale Mąż jak zawsze musi mieć „ale”. Pewnie kazał je zdjąć, kiedy Starszy tylko przestał ryczeć.

Bo rzeczywiście w mieszkaniu cisza aż miło. Nawet buczenie odkurzacza brzmi sielankowo. Dwadzieścia minut może Marzeny nie było, a Mąż jakoś ogarnął bez niej. Jednak jest beznadziejna.

Bez zdejmowania butów podchodzi do toalety. Już chwytą za kłamkę, ale nie.



M. Łabędzka / PLSP w Supraślu

Za chwilę się wysika. Jeszcze tylko rzuci okiem na Młodszego. Powoli uchyla drzwi od sypialni.

Młodszy śpi na brzuszku. Jej krągły aniołek.

Marzena wycofuje się z pokoju. Znowu mija toaletę. Zmierza do salonu, gdzie mąż przeniósł swoją walkę z odkurzaczem. Rozgląda się. Idzie do drugiego pokoju. Do kuchni. W końcu do łazienki.

– Marek, gdzie jest Starszy? – Drepcze przez salon, wychodzi na balkon. Patrzy w dół. Na szczęście, to tylko wyższy parter. – Marek! – drze się, choć ma wrażenie, że ktoś wcisnął jej pięść do gardła. Rzuca się do gniazdko i wyciąga kabel od odkurzacza. – Marek, nie ma Starszego!

Mąż wciąż stoi zgarbiony nad dywanem.

– Myślałem, że jest z tobą.

– Gdzie ze mną, przecież mówiłam, że wychodzę!

– Gdzie wychodzisz?

– Kurwa, człowieku! Starszego nie ma, nie rozumiesz?! Wyszedł, chyba wyszedł!

Rura odkurzacza spada na podłogę.

Stopy tupią na schodach w rytm mdlejącego od biegu serca. Mąż dyszy za Marzeną. Na klatce, przed blokiem, na pasie zieleni do ogrodzenia, na parkingu. Nie widzą nigdzie Starszego.

– Idź do Młodszego, ktoś musi zostać! – Słyszy Marzena i nawet nie wie kiedy zostaje sama.

Wraca na schody. Wspina się. Szybko, ale już nie biegnie. Dzielne światło za oknami szarzeje. Stopnie robią się czarne, falują pod stopami jak morze.

Zbliża się noc. Zaraz zrobi się zimo. A Starszy zdjął rajstopki.

Zaraz za wejściowymi drzwiami Marzena słyszy płacz z sypialni.

– Kurwa! – Ściąga tylko jednego buta.

Bierze Młodszego na ręce. Synek ma jeszcze zamknięte oczy, dopiero co się obudził. Marzena odchyła dekollet i wyciąga pierś. Wciąż ciepłą i miękką. Pełną mleka, które przypląnęło do niej nie wiadomo kiedy i dlaczego. Dziwi się, że jej ciało wciąż produkuje, wciąż grzeje, choć ona czuje na twarzy i w gardle tylko ostre, niepozwalające oddychać zimno.

Młodszy ssie, a Marzena patrzy. Jak w poduszkę lub koc. A przecież to Młodszy, jej mały, kochany, wyciekany synek, ale jakby to wcale nie on, sama nie wie. Nie może teraz myśleć, szczególnie o innym dziecku.

Chce jej się sikać. Czy człowiek może sikać, kiedy umiera jego dziecko? Pójdzie do toalety, a kiedy będzie spuszczać wodę, zapinać rozpięty, wróci Mąż i powie jej, że znalazł Starszego. Jest martwy.

– Poczekaj chwilę, ręce myję – zawoła Marzena w odpowiedzi.

Już widzi pulchne udka, krągłe gołe stópkę, różowe z zimna, jak te rajstopki porzucone w korytarzu, jak zdjęcia płodów z rzadkimi chorobami genetycznymi, u których wykształciły się tylko te zakrwawione nóżki i brzuszki.

Młodszy się odkleja. Śpi. Boże, wreszcie! Marzena układa go obok na łóżku. Na brzuchu, jak zawsze. Powoli zsuwa się z łóżka, pęcherz wzywa, kłuje. Wysika się i zadzwoni do męża. Kurwa, gdzie położyła telefon? Goła stopa dziwnie głośno stąpa po panelach. Mlaska, jakby się przyklejała. Marzena popycha drzwi. Z drugiej nogi zrzuca w końcu but.

Ruch i ciche skrzywienie łóżka. Odwraca głowę. Młodszy trze piąstkami powieki. Co jej zostało? Marzena zaciska zęby, niemal tak mocno jak zwieracze i wraca do łóżka. Siada i znów przystawia Młodszego do piersi. Nie zdążył się rozpląkać, ale ona ma łzy w oczach. Jezu, zaraz zleje się do łóżka!

Ścisła Młodszego w ramionach. Mocno, za mocno. Ale zaraz zwalnia uścisk. Młodszy nie płacze, nie rozumie jeszcze przemocy. Nie wie, że mógłby już krzyknąć. Marzena zamyka oczy. Próbuje się uspokoić, zatrzymać ciągle drgające nerwowo nogi. Chciałyby być teraz gdzie indziej, powinny biec, truchtać, wchodzić gdzie tylko się da. Aż dojdą do Starszego.

Młodszy znów śpi. Albo tylko udaje, Marzena już sama nie wie, ale nie ma zamiaru się nad tym zastanawiać. Kładzie go jednym ruchem na łóżko. Nie układa na brzuszku. Zsuwa stopy na podłogę. Wysika się i zadzwoni do Męża.

Odwraca się jeszcze i patrzy na Młodszego. Razem z pierwszym dzieckiem

urodziła się w niej myśl, że gdyby Starszy, a wtedy Jedyny, umarł, jej też nie pozostałoby nic innego. Tylko umrzeć. Po prostu. A teraz? Umrze? I co z Młodszym?

Znowu ruch, skrzywienie łóżka. Dziecko przekręca się na brzuch, wbija dłonie w materac i unosi główkę. Rozgląda się zaspanymi oczami, które chyba niewiele teraz widzą. Pęcherz kłuje. Nie, nie, nie! Nie ma takiej opcji! – myśli Marzena i wyciąga rękę. Kładzie ją na głowce. Wcisną małą twarz w materac. Śpij, do cholery! ŚPIJ.

I wtedy słyszy kroki. Ruch przy wejściowych drzwiach. Cofa rękę.

– Marzena? – Mąż wchodzi ze śpiącym Starszym w ramionach. Uśmiechnięty, choć w jego twarzy więcej jest drżenia niż pewności.

Marzena też bierze dziecko na rękę. Młodsze. Nie wie po co. Chciała mieć przecież miejsce dla Starszego.

Ale Mąż już odkłada go na łóżko i przykrywa gołe nóżki kocem. Nie są różowe, nie zmarzły. Wciąż w bluzie i butach przejmując od Marzeny Młodszego i zaczyna chodzić po pokoju, nucąc coś kojącego pod nosem.

Marzena stoi chwilę bez ruchu, aż wreszcie nogi same prowadzą ją do toalety. Zamyka drzwi i przekręca zamek. Z trudem zdejmując wciąż zbyt wąskie po ciążę spodnie. Siada.

I sika bez towarzystwa. Ale jakoś tak – nie czuje ulgi.

ALEKSANDRA TARNOWSKA

– urodzona w 1990 roku, absolwentka filologii polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Pisze oczarowana swoją władzą nad słowem i władzą słowa nad nią. W wolnych chwilach zachwyca się teatrem radiowym i przesłodzoną herbatą.